

„Czy mogę pani pomóc“?

Rozmowa z b. szefem kolportażu PPR - „Stachem“

Duży, dobrze ogrzany pokój przy centralnej ulicy Łodzi. Za biurkiem zarzuconym papierami siedzi Stanisław Januszewski — o dwadzieścia lat starszy od „Stacha”, który w trzaskający mrozem dzień 21 stycznia 1942 roku wysiadł na Dworcu Głównym w Warszawie, żeby... Przyjechał ze Lwowa z adresem mieszkania na Żoliborzu — to wszystko. Miał w nim spędzić pierwszą noc, został dłużej, bodaj czy nie do marca, kiedy sprowadziła się do Warszawy jego matka, nazywana później przez PPR-owców i ZWM-owców „towarzyszką mamą” — matka, a zarazem „podpunkt” przy ulicy Sapieżyńskiej 5.

Wiosną 1942...

—Tego dnia lał deszcz, prawdziwa marcową słońca. Byłem umówiony na końcowym przystanku „siemnastrki”. Oczywiście, nie wiedziałem kogo tam spotkam, ani o co chodzi. Okazało się, że decyzyjną trójką kierowniczą Komitetu Centralnego PPR zostali mianowani kierownikami kolportażu, na miejsce „zaszypanego” towarzysza Mariana Jaworskiego.

Pierwsze kontakty dał mi „Wiesław” — towarzysz Władysław Gomułka.

— Kolportaż, to była prasa i ludzie.

— Przede wszystkim ludzie. Ci, którzy nasłuchiwali, ci co pisali, drukowali, odbijali, fałcowali, nosili, wozili i — czytali. Za każdą z tych czynności groziła identyczna kara — śmierć.

— A więc ludzie...

— Był „Mirek” — Zygmunt Szwede. Przez dłuższy czas jeździł z bibułą, potem ożenił się i poprosił o przeniesienie do pracy w drukarni; jego żona sądziła, że to jest mniej niebezpieczne. Zygmunt zginął z rąk hitlerowców we Włocławku pod Warszawą.

Było rodzeństwo Kreglewscy z folksdojczowskimi papierami po matce — Niemce. Siostra bardzo przystojna, efektowna blondyna zwana „jasną Zochą”, przewiozła chyba najwięcej bibuły z nas wszystkich. Jeździła w przedziałach dla Niemców, nie niepokojona przez rewizję. Pewnego dnia w pociągu do Krakowa tak się spodobała jakiemuś SS-manowi, że przy wysiadaniu wziął jej obie ciężkie walizki, po wierzchu wypelnione „Gwardzi-” i w sposób pełen galanterii odniósł do tramwaju.

Była „czarna Zocha”, była Maryla Kordala jeżdżąca z ogromną brawurą. Była „Bronka”, inżynier-chemik ze Lwowa, dziesiętnastoletni student „Stefan”, młodzieńca

uczennica „Helenka” i Anna, robotnica z Marymontu, matka malarzkiej dziewczynki. Pojechała z kolportażem, złapali ją w Ostrowcu Świętokrzyskim, zamordowali w Oświęcimiu. Był wreszcie towarzysz „Skoczek”, starszy wiekiem metalowiec z Marymontu. On jeden z kolporterów zmarł w czasie okupacji we własnym łóżku. Zazębili się w drodze do Lublina, dostał zapalenia płuc i serce nie przetrzymało gorączki.

Było ciężko. Jeździliśmy sam na sam z wrogiem, ze śmiertelnym niebezpieczeństwem. Każdy z nas wolałby mieć u boku towarzysza, walczyć w grupie.

Fizycznie też było niełatwo. Na podpunkcie wręczano kolporterom po dwie paczki bibuły, po 500 egzemplarzy każda. Do tego dochodził ciężar dwóch walizek z podwójnymi dnami. Przez pewien czas próbowałem, dla bezpieczeństwa, wozić prasę w bańkach od mleka, lecz musieliśmy to zarzuć — blacha zbyt dużo ważyła.

— A jednak — wozilo się!

— Wozilo... po trzy razy w tygodniu. Długie trasy: Warszawa — Lublin, Warszawa — Kraków. Jedną krótszą: w kierunku granicy między Generalną Gubernią a Reichem; tą drogą szła bibuła do Łodzi. W tym kierunku jeździłem zawsze sam, wysiadałem na stacji Baby (konduktor wołał: „Baby, wysiadać!” wszyscy się śmiali...) i szedłem do Dąbrówki, gdzie tuż za „granica” stał domek rodziców towarzysza Znojka, „przejazdówka” kolportażu na Łódź i okolice.

— W tym nieustającym niebezpieczeństwie — co było najbardziej niebezpieczne?

— Wydawało się że najgorsze, co może nas spotkać, to „spalenie” się lokalnie, który odbierał bibułę, lub rewizja w pociągu, na wozowej stacji, gdzie Niemcy szukający żywności mieli zwyczaj kłuć paczki bagietkami. Kiedy jednak przypominamy sobie, kto i gdzie poniósł śmierć przy kolportażu, okazuje się, że ludzie nie wpadli ani w punkcie odbioru („przejazdówkach”), ani w pociągach. Poczekalnia kolejowa, mała restauracja, ruchliwe ulice miasta — to były miejsca, gdzie niespodziewanie spadała na kolportera śmierć.

— I tak trwało przez dwa lata?

— Trochę więcej niż dwa lata — do Powstania Warszawskiego. W Powstaniu zginęli kolporterzy: „Mietek”, mały „Jurek”, „Helenka”, „czarna Zocha”, „Karol”... „Stefan” przebił się z grupą partyzantów do Wyszkiwa i zginął w tamtejszych lasach.

To było osiemnaście lat temu, a sam kolportaż narodził się przed dwudziestu laty, wraz z Polską Partią Robotniczą, której walce nieodłącznie towarzyszył.

Rozmawiała:

IRENA FRĄCKOWIAK

Role głównych bohaterów tego artykułu odgrywają: szkoła, komitety opiekuńcze i rodzice

Ze szkołą nierozzerwalnie wiążą się dwie ogólnie znane i bardzo popularne instytucje: komitety opiekuńcze i komitety rodzicielskie. O ile te ostatnie mają dość już sprecyzowane cele i metody działania, o tyle komitety opiekuńcze wciąż jeszcze znajdują się w stadium eksperymentu. Owe eksperymenty i poszukiwania są wielostronne. Z jednej strony szkoła nie wie dokładnie, jak współpracować z komitetem opiekuńczym. Z drugiej — komitet opiekuńczy, którym z reguły jest jakiś zakład pracy, nie zawsze potrafi się ze swych obowiązków należycie wywiązać. Wreszcie właściwe organa rad narodowych, odpowiedzialne za szkolnictwo, też czasami błądzą po omacku i mają sporo kłopotów z rozwiązaniem tego problemu. A problem to wcale niebagatelny i — wbrew pozorom — trudny.

Zadania komitetu opiekuńczego wobec szkoły można streścić w dwóch lapidarnych punktach: pomoc materialna i pomoc wychowawcza. Czy te postulaty są należycie realizowane? W Poznaniu i województwie mamy około 2.200 szkół, spośród których trochę więcej niż połowa znajduje się pod patronatem zakładów pracy czyli komitetów opiekuńczych. Są takie, co ze szkołą współpracują dobrze, ale częściej zjawiskiem są, niestety, komitety słabe. Ich słabość — jak już wspomniiano wyżej — nie tyle ma swe źródło w lekceważeniu szkoły lub niechęci do niej, ile raczej w braku doświadczenia. Ale partner tej współpracy — szkoła — też ma trochę grzechów na sumieniu.

Dwa grzechy główne

Pierwszym z nich jest nagminne traktowanie komitetu opiekuńczego niemal wyłącznie jako źródła pomocy materialnej, a ściślej mówiąc — finansowej. Drugim grzechem jest fakt, że szkoły nie bardzo kwapią się do rewanżu wobec swych mecenasów. Pewna część nauczycieli nie jest przekonana o celowości rewanżu dla zakładu pracy, a jeżeli już skłonna jest na taki konakt przystać, nie zawsze wie, jak to zrealizować.

Niżej podpisany też nie ma gotowej recepty na formy tych „świadczeń” ze strony szkoły. Nie zawsze można zresztą polegać na najdoskonalszych nawet wzorach. Co we współpracy szkoły A z zakładem B świetnie zda egzamin, to w kontaktach szkoły Y z zakładem X może oberwać „pałę”. Ale pomyślmy: może to będzie występ na akademii w zakładzie — komitecie opiekuńczym, może przygotowanie jakichś upominków w postaci prac uczniów, może zaproszenie do szkoły na przedstawienie? Który z tych pomysłów dobry — trudno przewidzieć. Trzeba szukać, próbować, aż się trafi coś, co chwytą.

„Nic nie spada z nieba”

Czy ten jeszcze jeden nowy obowiązek, który największym ciężarem spadnie na nauczycieli, przyniesie rezultaty? Na pewno tak i na

pewno ich wartość stokrotnie wynagrodzi nauczycielski trud. Nie, nie mamy na myśli wyłącznie bezspornych korzyści materialnych dla szkoły. Zakład pracy — mecenas zawsze coś tam dla „swojej” podopiecznej znajdzie: czy to jakieś urządzenie, maszyny lub narzędzie (politechnizacja!), czy to trochę złotych, których nigdy nie jest za dużo, czy wreszcie zaznajomi uczniów z produkcją. Chodzi jednak o sprawę znajdującą się poza sferą materialną, o efekty wychowawcze, moralne. Przede wszystkim nauczyciel młodzież oczywistej, ale także często przez nią lekceważonej zasady: nie nie spada z nieba — na wszystko trzeba zapracować. Poza tym wciągnie się zakład opiekuńczy w proces pracy wychowawczej. Zakład to nie jest jakaś abstrakcja, to nie tylko „dobro majątkowe” i

osobnego omówienia. Ilu rodziców lekceważy obowiązek wychowywania dzieci, ilu nie chce czy nie umie współdziałać ze szkołą, ilu wprost zaniedbuje swe dzieci? Trudno nie przeciwdziałać sankcjami, bo ich nie ma i raczej nie będzie. Nie tędy przecież droga. Nawiasem mówiąc, jak się ktoś upije i trafi do izby wytrzeźwień lub na posterunek milicji, może mieć w zakładzie pracy przykrość. A co się dzieje, gdy zaniedbuje swe dzieci? Jeśli to nie przybiera rozmiarów katastrofalnych, nikt mu z tego słowa nie powie! Nie naruszając jeszcze wobec dzieci norm prawnych, można przez niedostateczną opiekę nad ich rozwojem wyrządzić im dużą krzywdę, unieszczęśliwić na całe życie.

Zakłady pracy — właśnie te, które dobrze chcą się wywiązać z obowiązków komitetów opiekuńczych — również takimi sprawami mogą i powinny się interesować. W ścisłym kontakcie ze szkołą. Jakże piękne pole do działania staje otworem przed radami zakładowymi, kołami Ligi Kobiet, wszystkimi rodzicami i... kan dydatami na rodziców!

Jeżeli trójką: szkoła — komitet opiekuńczy — rodzice ma przynieść efekty wychowawcze, musi układać swe wzajemne stosunki nie tylko na płaszczyźnie materialnej, lecz również nie tracić z pola widzenia strony moralnej i pedagogicznej tego zagadnienia.

Prawie połowa szkół wszystkich typów i stopni czeka na swe komitety opiekuńcze. Równocześnie setki przedsiębiorstw Poznania i województwa nie przyjęło jeszcze opieki nad żadną szkołą. Nie przyjęło, mimo że przedsiębiorstwa finansowo stać na taką opiekę, a moralnie są do niej nawet zobowiązane. Przecież pracują w nich rodzice, których dzieci chodzą do szkoły, czekającej na swego mecenas.

Marian Flejsierowicz

WYCHOWAWCZY TRÓJKĄT

„osoba prawna”. To przede wszystkim zbiór żywych ludzi, zbiór rodziców. Z praktyki wynika, że w tym zakładzie, który przyjął na siebie obowiązki komitetu opiekuńczego i dobrze się z nich wywiązuje, zatrudnieni — a więc w znacznym mierze rodzice — bardziej interesują się swoimi dziećmi, ich postępiami w nauce, więcej przejmują się sprawami szkoły. Instytucja komitetów opiekuńczych pomaga więc niejako wychowywać wychowujących.

Pedagogizacja dorosłych

I tak zbliżamy się do innego zagadnienia do tzw. pedagogizacji rodziców i starszego społeczeństwa. To jest kapitalny problem, godny

Tadeusz Haluch

Nad „Przeglądem Literackim”

Dobra winieta Ewy Pruskiej. 24 kolumny druku, spokojna o nowoczesnej elegancji szata graficzna, świetny papier. Tytuł — oczywiście zbyt wąski w konfrontacji z treściami, którym patronuje. To zresztą nieistotne, większość tytułów naszych periodyków nie pokrywa bez reszty zakresu problematyki uwzględnianej przez redakcję. Wydawca — Wydział Kultury Prezydium RN m. Poznania. Redakcja — Komitet przy Zarządzie Oddziału ZLP.

Czymże jest „Przegląd Literacki”? Czy istotnie jedynodniówką — jak to skromnie określa anonimowy komitet redakcyjny (nb. anonimowość niczym nieuzasadniona). Czy też czymś więcej — swoistą propozycją poznańskiego środowiska twórczego? Odpowiedź na to pytanie nie jest zbyt trudna — materiałowi par excellence „jedynodniówkowy”, a więc opracowań typu monograficznego, o zamkniętym — tak bym to nazwał — obwodzie myślowym „Przegląd” zawiera bardzo niewiele. Jednym słowem — „Przegląd Literacki” jako obiektywizacja cennej inicjatywy przerósł formalną „jedynodniówkę” (czyli prowincjonalną).

A więc propozycja... Na ogół propozycje takiego formatu są przywilejem skonsolidowanych grup o wspólnych założeniach ideowo-artystycznych. „Przegląd Literacki” również pod tym względem łamie sztyki łatwych schematów. Jest propozycją całego środowiska twórczego Poznania, próbka jego możliwości, przejaw odważnej chęci zdynamizowania kulturalnego życia regionu. Ślad najszybszy wachlarz generacji, postaw, światopoglądów i poetyk, stąd specyficzny, nie pozbawiony pikantów alians nazwisk, reprezentujących krańcowo różne poglądy, stąd wreszcie współistnienie treści, zdziwionych nieco swymi kontekstami. Jest zatem „Przegląd Literacki” przejawem dążenia do integracji poznańskich środowisk twórczych, być może dopiero jej formą załączkową, jednak ze wszech miar cenną. „Chodzi więc o pobudzenie wyższych pokładów myślowych — pisze w „Probie bilansu” — Stefan Olszowski — pobudzenie intelektualne działających środowisk, stworzenie klimatu umysłowego dla wchodzących w życie nowych roczników. Ta sprawa nie jest i nie może być

obojętna dla Partii, nie chodzi przecież o wszelkie pobudzenie intelektualne, ale o takie, które wprost lub poprzez obiektywną wymowę będzie służyć głównym sprawom naszej współczesności, tj. socjalistycznym przemianom w świadomości ludzkiej”.

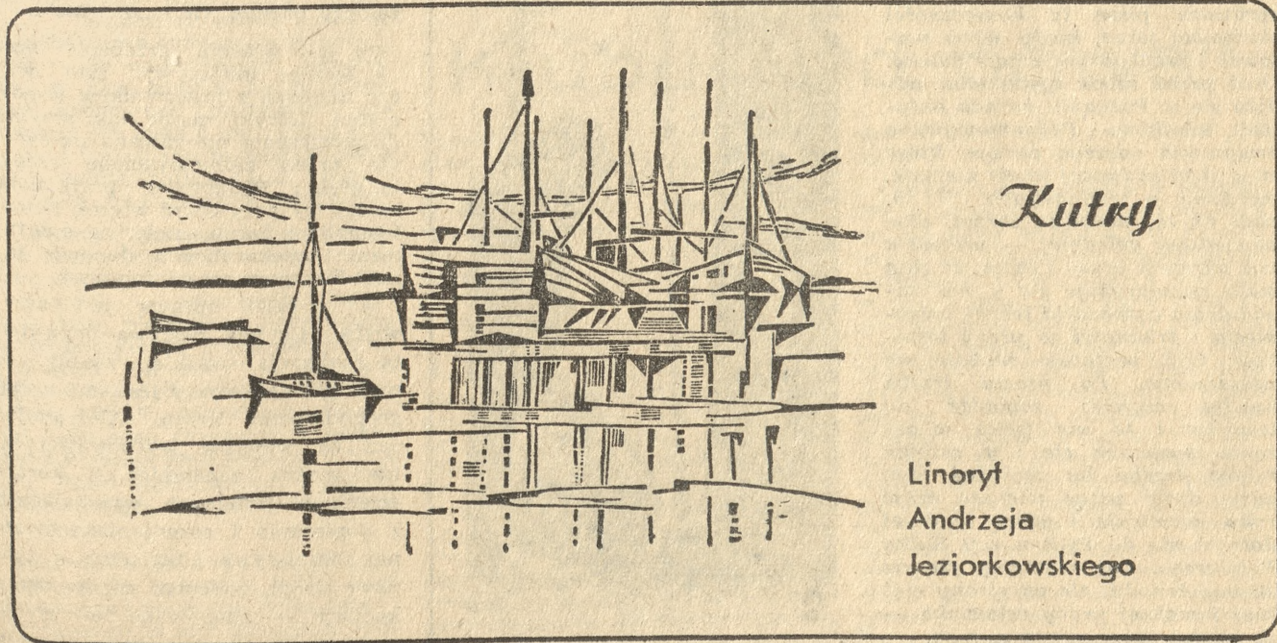
Stworzenie klimatu umysłowego...

Chyba jedna z głównych spraw, które zainspirowały wydanie „Przeglądu Literackiego”. Dyskusji na ten temat było w Poznaniu sporo. I to żarliwych. Cóż z tego, kiedy cały gniew intelektualistów kierował się przeciwko tzw. poznańskiemu kolonowi, miłychnie postaci, pożerającej zachłannie wieprzowe nogi. Miły są w ogóle rzeczach niebezpiecznych, miły usprawiedliwiający intelektualne lenistwo i brak koncepcji są rzeczą groźną. Ośmieszanie i walka ze straszynem mieszczańskim mogły być manifestem społeczno-obyczajowym w okresie, gdy Boy kolportował swoje „Słówka”. Dziś płaszczyzna „Słówek” już nie wystarcza. Oprócz zrywania się na nieruchawość kołtuna trzeba zakomunikować światu coś istotnego, własnego, twórczego. Wydaje mi się, że jałowość poznańskich dyskusji na temat atmosfery kulturalnej regionu, a raczej braku tejże, miała swe źródło w zawężeniu pola ostrzału, w anachronicznym podejściu do istoty problemu. Jest bowiem rzeczą oczywistą, że klimatu myślowego nie robi się hałaśliwym gadaniem. W kulturze jak w każdej innej dziedzinie liczą się ostatecznie tylko fakty.

Takim faktem jest między innymi „Przegląd Literacki”. Czy przypadnie mu w udziale przewietrzenie kulturalnej aury Poznania — okaże przyszłość. W każdym razie „Przegląd” tej perspektywie realnie służy.

Skarży się E. Pauksztla („Poznań miasto nieznane”), że właściwie mało wiemy o swoim mieście, że jego geografia społeczno-kulturalna uległa głębokim przeobrażeniom i czas najwyższy, aby z tego faktu wyciągnąć wnioski. Jakby przedłużeniem artykułu Pauksztli jest interesujące studium Janusza, Kultuniaka i Romanowskiego „Konterfekt Wielkopolańska”, próba uszeregowania typowych cech, przy-

Dokończenie na str. 4



Kutry

Linoryt
Andrzeja
Jeziorkowskiego

Remigiusz Szczepanowicz

RYSIEK NIE WRÓCIŁ Z NAGONKI

Kilka tygodni temu głośno było w prasie o zaginięciu syna znanego amerykańskiego milionera Rockefellera. Młody Amerykanin brał udział w wyprawie badawczej na Borneo, odłączył się od ekipy, zaginął w dżungli i zginął. Informowano o każdym kroku przedsięwziętym dla odnalezienia Rockefellera - juniora. Wymieniono liczby helikopterów i szukających go osób. Poinformowano dokładnie o tym, że sam Rockefeller - senior przyjechał na Borneo, aby brać udział w poszukiwaniach syna. I chociaż chodziło o amerykańskiego milionera, chociaż rzecz miała się daleko od naszego kraju, ludzie z ciekawością śledzili całą sprawę, wypatrywali wieści od uczestników poszukiwań. I smutek ogarnął wszystkich po ostatnim komunikacie: „poszukiwania nie przyniosły rezultatów. Zrozpaczony ojciec wrócił do USA...”

Tak jest zawsze, kiedy niepotrzebnie ginie człowiek.

Przed paroma dniami gazety polskie przyniosły wiadomość: „Po 52 dniach poszukiwań odnaleziono zwłoki zaginionego chłopca”. Tyle w tytule informacji. Ale za tym ty-

tulem kryje się bardzo smutna, powiedzialbym, ponura sprawa.

W grudniu ubiegłego roku koło wsi Lubenka zebrał się myśliwi. Jak zawsze w takich wypadkach kompletowano nagonkę spośród okolicznych chłopów. W składzie tej nagonki znalazła się „siła” nie bardzo jeszcze silna ale, należy się domyślić, tania: 10-letni Ryszard Popielewicz. Chłopiec poszedł na łańcuchu naganiaczy, postrążył zające i... nie wrócił do wioski. W prasie było cicho, ale w okolicach Lubenki trwały „intensywne” poszukiwania. O ich intensywności może świadczyć ujawniony ostatnio fakt, że po 52 dniach zwłoki chłopca znalazł listonosz wiejski wiozący do wsi listy. Podobno, jak ustalili wstępne śledztwo, chłopiec usiadł w rowie melioracyjnym aby odpocząć i zamarzył. Rów, jak należy się domyślić, przebiegał opodal drogi ale przez 52 dni „intensywnych” poszukiwań nikt do niego nie zaglądał.

Pomijam już wszelkie inne, niezrozumiałe aspekty tej sprawy. Nie wiem kiedy odkryto nieobecność 10-letniego Ryska, nie wiem czy panowie myśliwi wraz z pozostałymi uczestnikami nagonki zadali sobie trud szukania chłopca po polowaniu. To zapewne ustali śledztwo, będzie się też szukało winnych,

być może, że takich winnych się znajdzie.

Fakt jednak pozostanie faktem. 10-letni wiejski chłopak Rysiek Popielewicz, zginął nie w dżungli borneńskiej ale w polskim lesie i marzył w rowie na kość wtedy, kiedy kilkadziesiąt dorosłych spożywało myśliwski bigos i rozgrzewało się „żubrówką”.

Co pewien czas Polskie Radio nadaje krótkie komunikaty: „w dniu tym a tym wyszedł z domu i dotychczas nie powrócił chłopiec taki to a taki...”. Następuje rysopis, podaje się kolor sweterka, bucików, ubrania. I przeważnie komunikat taki odległy jest od daty zaginięcia dziecka o dobre parę dni lub tygodni. Dlaczego tak się dzieje? — zapytują ludzie. Dlatego, że w międzyczasie trwały też „intensywne poszukiwania”. Szukali zrozpaczeni rodzice, no, i może jeszcze najbliższa rodzina lub kilku znajomych. Szukali, to znaczy chodzili po innych znajomych, chodzili po tych miejscach gdzie dziecko lubiło się bawić, chodzili na milicję czy aby ktoś nie zameldował...

Ale my wszyscy, ja, ty, on? Czy przejmujemy się kiedy giną cudze dzieci? Czy wypatrujemy oczy za „szarym sweterkiem” lub „czarnym paltem i brązowymi bucikami”?

Czy zwracamy uwagę na maćków, którzy o 10 wieczorem przypatrują się boje pijaków, maćków jadących samotnie pociągami, dziesięciolatków szukających dziury w płocie stadionu, awanostolatków śpiewających pod naszymi drzwiami „w ziobie leży”?

Raczej nie. Ta znieczulica jest jeszcze większa i groźniejsza u ludzi na wsi. 10-letni chłopak wiejski uchodzi w oczach wioski za „kawalera”. Często już pije, pali, bardzo często chadza własnymi drogami na wesela do innej wioski. Ta znieczulica zabija też Ryska z Lubenki. Nie znalazł się nikt, kto wzięby chłopca „na oko”, kto by powiedział sobie na wstępie „chce chłopak zarobić parę groszy, niech idzie w nagonce, ale ja będę miał na niego baczenie”. W łańcuchu kilkunastu czy kilkadziesiąt ludzi zgubiło się jedno ogniwo, najważniejsze, najdroższe: dziecko. I 52 dni bezskutecznie choć „intensywnie” szukano tego ogniewa.

Nie wierzę. Zle szukano Ryska Popielewicza, tak, jak zle szuka się u nas innych zaginionych dzieci. Szukano go bez serca, bez troski o jego los wprawiając sobie, że chłopak nie szpilka, „połazi i wróci”.

I nie zmienię swego zdania nawet wtedy, kiedy mi powiecie, że istotnie wiele z zaginionych dzieci wcześniej czy później wraca.

Bogusław Kogut

Arkadia nieco mityczna

Wielki obszar gruntu zarośnięty drzewami, zwykłe rosnącymi diko — tak określa las słownik Karłowicza. Ten opis wymaga sprostowania, gdyż znaczna większość lasów w Polsce to już lasy sadzone ludzką ręką, a te, które zasiały się same też są pod ludzką zorganizowaną opieką. Ale pojęcie lasu jako czegoś dzikiego i egzotycznego zarazem, tkwi nie tylko na 686 stronie drugiego tomu Karłowicza, tkwi ono także w świadomości ludzkiej. Trochę to zakrawa na paradoks: potężna i ważna gałąź gospodarki narodowej, dwadzieścia kilka procent powierzchni kraju — a w pojęciu przeciętnego obywatela to po trochu „dar Boski”, po trochu ziemia niczyja, a najbardziej — to miejsce uroczych wycieczek. Każdy z nas mieszczuchów (a stanowimy prawie połowę 30-milionowej ludności kraju) wie, że do lasu jeździ się na grzyby, co zresztą przez kierownictwa zakładów pracy organizujących grzybowe wycieczki bywa zaliczane do działalności kulturalnej.

Jeździmy więc na te grzyby (rzadziej na jagody), bławakujemy, pozostawiając po sobie nieomyślnie ślady w postaci skorup od jaj, papierów i... szkła. Rzadko komu przyjdzie na myśl, że porzucona butelka nie tylko zaśmieca las, ale w razie suszy i upałów może stać się przyczyną pożaru. Co więcej — lubimy nieraz rozpaść sobie w środku lasu ognisko i potem dziwimy się, że oto zjawia się zdenerwowany i zdyszany leśniczy, jak by nie innego nie miał przy niedzieli do roboty, tylko przeskakać między mieszczuchom w bławakowaniu. Dla nas jest to tylko niewinna „watra” na ziemi niczyjej — dla niego stęp dymu z naszej „watry” jest groźnym alarmem, niweczącym świąteczny odpoczynek. Ale cóż, taka już tradycja, że ubrany w zielony strój leśniczy bardziej nam się kojarzy z piosenką („nie chodź Marysiu do lasa”) niż z ciężką, odpowiedzialną pracą, wymagającą nieraz wielu wyrzeczeń i poświęceń.

— Ejże — powie ktoś — wyrzeczenia, poświęcenie? Przecież leśnik to mieszkaniowiec szczęśliwej i spokojnej Arkadii, niemal wybraniec losu w naszych hałaśliwych i zdenerwowanych czasach. A jednak warto wziąć pod uwagę i takie fakty, że dobrodziejstwa cywilizacji, choćby w postaci elektryfikacji, radiofonizacji i mechanizacji, najpóźniej tutaj docierają, że z owej Arkadii najczęściej daleko jest do szkoły i do sklepu, czy ośrodka zdrowia, na początek do autobusu czy kolei, nie mówiąc już o miasteczku z kinem itp. luksusami. I obok tego ciężka praca, wymagająca zarówno fizycznego wysiłku i nie lada kondukcji jak i wysokich kwalifikacji zawodowych. Planowe pozyskanie

drewna, surowca tak cennego i deficytowego — doprawdy nie wiele ma wspólnego z naszymi wyobrażeniami streszczającymi się przeważnie w sloganie: „Urosło — to się rabie”. To samo można powiedzieć o nowych zalesieniach i ochronie kultur, o pozyskaniu surowców nieдрzewnych, wśród których ważną pozycję zajmuje zwierzyzna i jej hodowla.

Tu znowu ktoś się skrzywi z niedowierzaniem. „Hodowla dzikiej zwierzyzny? Też coś? A jednak właśnie hodowla, wymagająca wielu zabiegów, od inwentaryzacji poprzez dokarmianie i ochronę aż do zapobiegania szkodnictwu i wreszcie plany pozyskania czyli odstrzału.

Z tą zwierzyzną zresztą — to osobna sprawa i osobny mit. W przekonaniu przeciętnego obywatela — łośnictwo to jest ekskluzywny, trochę arystokratyczny sport. Pif — paf! A potem bigos i żubrówka. A tymczasem towarzyszy wszystkim planowa działalność o charakterze ściśle gospodarczym, działalność wspól-

na administracji lasów i Polskiego Związku Łowieckiego. Polowanie z jego egzotyką jest tylko jednym z epizodów tej skomplikowanej działalności. Są w Europie kraje, np. Czechosłowacja, gdzie świadomość gospodarczej wagi łośnictwa — jest rozpowszechniona i zakorzeniona w społeczeństwie. U nas ta gałąź gospodarki jest absolutnie nieznana, a działalność na tej niwie ma charakter zgola konspiracyjny. Można by spisać tomy na temat swoistej polskiej obyczajowości, o bezkarności wszelkiego kłusownictwa, o tym wreszcie, że u nas nie tyle potępia się kłusowników, ile raczej leśników zwalczających kłusownictwo.

Powstaje pytanie, po co o tych sprawach piszę (z konieczności skrótowo) teraz, kiedy sezon majówek i grzybobrań jeszcze daleko. Otóż przed kilku tygodniami odbyła się w Poznaniu narada aktywów leśników. Podsumowywano osiągnięcia naszego okręgu, które są w skali krajowej uale niemałe, mówiono o trudnościach. M. in. padł na tej naradzie zarzut, albo powiedzmy ogólniej — pretensja pod adresem prasy i radia, że zbyt mało popularyzuje się u nas zagadnienia gospodarki leśnej, osiągnięcia i trudności w pracy leśników. Cóż, pretensja wydaje się uzasadniona. Po prostu trzeba byłoby częściej zaglądać do leśnictwa i to nie tylko w sezonie wycieczek ale i w sezonie reków, trzeba by zaglądać tam, gdzie drogi przez większą część roku rozmiękły i gdzie trudniej dotrzeć niż do PGR-u czy Kółka Rolniczego. Las widziany nie od strony Arkadii, ale od strony ciężkiej i ważnej pracy człowieka — to bardzo interesująca sprawa.

Przeciw społecznej bierności

W małym powiatowym miasteczku powstał klub brydżistów. Pierwszym i ostatnim przejawem jego działalności było wystąpienie do Prezydium MRN o przydział lokalu i funduszy.

Ta prawdziwa historia jest dość charakterystyczna. Inicjatywa społeczna nie wszędzie jeszcze zyskała sobie prawo obywatelstwa. Najlepiej — rozumuje ten i ów — poczekaj aż sprawę o n i załatwią. „Sprawą” może być i przydział mieszkania, i naprawa drogi, i założenie zieleńca przed blokiem mieszkalnym, i rozstrzygnięcie sporu między panami Kowalskim a Kaczmarskim o postawienie na ko-rytarzu szafy (autentyczne). Kto ma się tym zająć? ONI.

Słowo „oni” — oznacza dla biernych obywateli synonim jakiegś, bliżej nieokreślonej władzy. Władzę tę krytykuje się na potęgę i obarcza odpowiedzialnością za rozwiązanie najbardziej blahych spraw. Mało kto dochodzi do przekonania, że problem, o którym się pisało sążniste listy np. do Rady Ministrów, można załatwić we własnym zakresie.

Pasywna postawa nie jest zresztą wyjątkowym atrybutem tzw. szarych obywateli. Zjawisko to występuje bowiem także wśród ludzi, na których barkach spoczywa ciężar kierowania przedsiębiorstwami i instytucjami różnych szczebli.

W „Muzyce i aktualnościach” wysłano niedawno paradoksalny fakt. Chodziło o spór, który toczył się między dwoma rolnikami w związku z postawieniem na między stogu. Nikt nie chciał tej sprawy rozstrzygnąć. GRN i PRN umyły ręce. Głos musiało zająć „wojewódzstwo”.

Niezmiernie charakterystycznym dla omawianej postawy zjawiskiem, jest używanie słów „Warszawa” i „brak funduszy”.

— Wielec redaktorze — słyszy często dziennikarz — u nas życie kulturalne rzeczywiście rozwija się słabo, ale cóż robić, skoro Warszawa odmówiła funduszy.

„Warszawa odmówiła” — krótki

zwrot. Bardzo wygodny dla usprawiedliwienia własnego wygodnictwa i nierobstwa. Wobec takich działaczy tytanami inicjatywy i pomysłów są np. harcerze, którzy zbierają makulaturę, by w ten sposób uzyskać pieniądze na zorganizowanie obozu. Za supertytanów

trzeba by natomiast uznać mieszkańców Klaju, którzy gremialnie przystępują do umocnienia polnej drogi.

Długo można by się rozwodzić na temat przyczyn biernej postawy pewnej części społeczeństwa. Nie jest to jednak najważniejsze, czy korzeni tego zjawiska trzeba się doszukiwać w okresach zabarów i okupacji, czy też — jak twierdzą niektórzy — w typowych dla Polaków cechach psychicznych. Faktem jest, że zjawisko to nie ma racji bytu w naszych warunkach ustrojowych i stale też wykazuje tendencję do zniknięcia. Rzecz w tym, by przyspieszyć proces likwidacji. A to nie jest takie łatwe. Tempo procesu likwidacji hamują bowiem grabarze inicjatywy społecznej, przy czym ludzi takich jest jeszcze немало.

Słyszałem, że w jednej z wielkopolskich fabryk dokonano usprawnień produkcji, co pozwoliło obniżyć koszt wykonania jednej maszyny o 100 tys. zł. Oczywiście, ręce składają się do bicia braw dla racjonalizatorów. Aliści historia nie zawiera wcale happy-endu. Oto Centralny Zarząd stwierdził, że fabryka wskutek innowacji nie wykonała planu finansowego i obciążyła budżet premie. Ot i „uznanie”...

To jest właśnie grzebanie społecznej inicjatywy. Kto wie, czy nie jeden z pracowników wspomnianej fabryki mając tak przykre doświadczenia nie zaważa się obecnie przed zainicjowaniem cokolwiek. Podobnych przykładów można by przytoczyć więcej. Nieraz formalizm, bezduszność, ba oportunizm i asekurantwo stanowią tamę dla społecznej inicjatywy.

A przecież sprawa jest oczywista. Czynna postawa obywateli to realizacja ważkiej zasady, w myśl której wszyscy jesteśmy współgospodarzami kraju. Abstrahując już od walorów wychowawczych, nie można zapomnieć o korzyściach materialnych, wynikających z popierania i rozwijania społecznej inicjatywy. Świadczą o tym nowe drogi, zieleńce, szkoły, domy kultury — zbudowane w czynnie społecznym. Smutne, że są jeszcze ludzie, którzy tego nie dostrzegają.

Kaja Danczowska wielka nadzieja wiolinistki

na gościnnych koncertach w Poznaniu — Bronisław Gimpel.

To cośmy słyszeli świadczy o autentycznym talencie dziecka, które dzisiaj już zasługuje na miano wielkiej artystki — tak wysoki jest gatunek twórczonej przez nie sztuki. W karierze każdego wirtuoza wczesna doskonałość techniczna jest czymś normalnym i wręcz niezbędnym. Danczowska, pewna swojej techniki fascynuje przede wszystkim muzykalnością, temperamentem i wyobraźnią. Atakując z rozmachem trudne pasaży i dwudźwięki, to znów wydobywając dzwienne i nasycone energią trele, Kaja zachowuje właściwy sobie wdzięk i elegancję, zmusza nie tyle do podziwiania doskonałości swojej gry, co ulegania jej bezpośredniości. Jest wrażliwa na styl wykonywanej muzyki a zarazem wydobywa z niej zawartość emocjonalną. Głęboki w wyrazie i śpiewny był Haendel, prosty, „roześmiany” i lekki Mozart, szlachetny w brzmieniu i nie „prześłodzony” Mendelssohn. Lecz jednocześnie każdy z interpretowanych utworów miał dużo osobistego ciepła, za bezbłędnie wykonywanymi nutami wyczuwało się szczerość indywidualnego, zrodzonego w radosnym i młodzieńczym kontakcie ze sztuką — wzruszenia. Pasja muzykowania to jeszcze jedna cecha skrzypaczki, która na zakończenie odpowiedzialnego i powtarzanego dwukrotnie programu wykonała na własne życzenie cały Koncert skrzypcowy Mendelssohna. W sonatach Haendla i Mozarta, jak i w utworach na fortepiano solo Bacha i Bartoka, podziwialiśmy również wielce utalentowaną koleżankę Kaji: 14-letnią Joasię Bocheńską. Pozostałe akompaniamenty należały do dyplomantki krakowskiej PWSM: Bogny Hałacz. (nk)

Michał Łuczak

„Oni” załatwia



Janusz Biniek

Do oglądania

Komedia, w dodatku śmieszna — to rzadki rarytas na naszych ekranach. Oczywiście, można podgrzymszać, że gagi ograne, że to i owo płaskie, ale fakt faktem: „STO KILOMETROW” (reż. G. Petroni) roześmiesz nawet dużego ponuraka.

Sam pomysł zresztą jest wyborny: akcja filmu rozgrywa się wyłącznie podczas spotkania w owej najdziwniejszej konkurencji sportowej, jaką jest chód na sto kilometrów. Inaczej mówiąc — rozmaitości „druhu” kaczym kroczkiem dookoła Rzymu. Widzimy więc starego mistrza, który chce efektywnym zwycięstwem zakończyć swą karierę; adwokata, stojącego do zawodów tylko dlatego, że przegrał zakład; widzimy młodego, nieśmiałego chłopca. I tu zaczyna się komediowe perypetie. Bo oto żona jednego z zawodników rodzi dziecko; adwokata, drepącego resztką sił, przesła-

FILM

duje klient, biagający o ratunek przed policją; młody zawodnik ma nader istotne kłopoty z garderobą, a na dodatek zakochuje się w poznanej na trasie dziewczynie; słowem — mnóstwo zabawnych sytuacji i komicznych nieporozumień. A wszystko podane w dobrym tempie, wszystkie trzymania się kupy, każda historyjka znajduje swoją pointę.

Okazuje się, że sport, jeżeli spojrzeć nań z przymrużeniem oka, niejako na pseudowychowawczy aryproblem utrzymania się w lidze, jest nader wdzięcznym terenem dla komediowych poszukiwań. I to nie tylko pod niebem Rzymu. Można wyobrazić sobie np. małe miasteczko, na ziemi polskiej nie włoskiej, w którym istnieją dwa rywalizujące ze sobą kluby, można wyobrazić sobie panów prezesów, ich godne przemówienia i zakulisowe gierki, owych kibiców co to na koniec świata — zresztą po co sobie wyobrażać, kiedy to wszystko znamy? Niestety. Dla naszych speców od filmowej rozrywki jest to ziemia nieznana i nieskalana, a zrobienie bezpretensjonalnej komedii współczesnej — czymś niemal uwłaczającym cześć.

Oto do jakich smutnych wniosków może doprowadzić obojętne bezpretensjonalne i najzwyklejsze pod słońcem, ale za to śmiesznej komedii.

*

Jedną z najpopularniejszych książek dla starszych dzieci są „PRZYGODY TOMKA SAWYERA” Marka Twaina, powieść, która nie zestarzeje się chyba nigdy.

Wyświetlane obecnie „Przyczyny Tomka Sawyer’a” zrealizował w „technicolorze” Norman Taurag, specjalizujący się w twórczości dla dzieci i młodzieży. Film żywo wciąga widza w sensacyjny tok akcji; jest trochę zrobiony nieco konwencjonalnie, nie zapominajmy jednak, że został stworzony z myślą o młodych. Nie znaczy to, by dorosły widz wyszedł z kina rozczarowany. Przeciwnie.

Za rogatkami Wielkopolski

W miasteczkach i na wsiach kulturalny ugor przeorują od czasu do czasu rozmaite spod ciemnej gwiazdy zespoły chałturzystów, przeważnie zaś ugor pozostaje ugor, bardzo rzadko wstrząsany plugiem kultury z prawdziwego zdarzenia.

Sytuacja ta, mniej więcej wspólna wszystkim regionom naszego kraju, budzi zrozumiały niepokój. Coraz częstsze też są próby szukania rozwiązań regionalnych, nie ujętych państwowym planowaniem, a opierających się na działalności społecznej. Interesujące propozycje w tej dziedzinie daje właśnie Bydgoszcz.

Wątpliwości

W Bydgoszczu istnieje sporo towarzystw regionalnych, rozmaitych miłośników miast, miłośników teatru, czy przyjaciół TWP. Wszystkie one same sobie rzepkę skrobą, nikt ich działalności nie koordynuje, nie prowadzi w jakimś określonym kierunku. W każdym powiecie wydaje się sporo pieniędzy na kulturę, ale nie zawsze na słuszne cele. Istnieje poważny problem właściwego wykorzystania tych funduszy. Poszczególne towarzystwa regionalne otrzymują dotacje państwowe idące w setki tysięcy złotych rocznie. Dotacje daje się pi razy oko, ale trudno się temu dziwić, bo wszystkimi towarzystwami zajmuje się w Wydziale Kultury Prezydium WRN jeden człowiek, a aktywność poszczególnych towarzystw i rezultaty ich pracy są bardzo różne.

Szczególną aktywnością odznaczyło się ostatnio w Bydgoszczu Towarzystwo Przyjaciół Sztuki, istniejące zresztą dopiero od kilku lat. Postarało się ono m. in. o własny salonik wystawowy, w którym początkowo... nie miało co wystawiać. Ale co znaczy znalezienie ujęcia dla artystycznych ambicji! Kiedy salonik zdobył już sobie popularność i uznanie kandydaci do wystawienia swoich prac posypali się jak z rękawa. Obecnie Towarzystwo ma już wypełniony plan wystawowy na kilka lat! Trzeba się dobrze zakrzętnąć i wykazać wybitnym poziomem, aby móc wystawić swoje prace w saloniku TPS.

Jednakże i TPS doszło z czasem do wniosku, że zbyt wąsko traktuje swoją działalność. Przecież pozostaje do obsłużenia teren województwa, gdzie niejednokrotnie ludzie jeszcze nigdy w swoim życiu nie oglądali wystawy plastycznej. Wszystko tam jeszcze jest do odkrycia, wszystko niejako czeka na zagospodarowanie. Podobne myśli i wątpliwości nurtowały i inne towarzystwa. Rada w radę wymyślono zorganizowanie towarzystwa, które by koordynowało prace wszystkich towarzystw regionu kujawsko-pomorskiego i nadawało jednolity kierunek ich pracy.

Jest towarzystwo!

Ponieważ zaś Bydgoszcz jest znana, że nie zwleka z realizacją tego co uzna za słuszne, więc też i powołanie towarzystwa nie kazało na siebie długo czekać. Powstało w grudniu ub. r. pod nazwą Kujawsko-Pomorskie Towarzystwo Kulturalne i na jego czele jako

Mieczysław Skąpski

Szarża w kulturze

przewodniczący stanął Aleksander Szmidt, przewodniczący Prezydium WRN, poseł na Sejm, działacz, którego rękę czuć w Bydgoszczu na każdym kroku. Jednym z wiceprzewodniczących jest rektor Uniwersytetu im. M. Kopernika prof. dr Stanisław Jaśkowski, a w ogóle wśród około 100 członków indywidualnych Towarzystwa znajdują się niemal wszyscy, którzy w kulturze na terenie Bydgoskiego coś znaczą oraz chcą i mogą coś zdziałać. Jeśli chodzi o członków zbiorowych, to Towarzystwo zrzesza około 40 regionalnych towarzystw społeczno-kulturalnych, praktycznie biorąc niemal wszystkie, które w Bydgoszczu istnieją.

Piszę „prawie”, bo niektóre jeszcze wzdługają się przed przystąpieniem, jak np. Towarzystwo Miłośników Torunia, obawiające się, że jego wąski, miejscowy program rozplynie się w tym wielkim cieple, straci znaczenie i zostanie zaprzeczony. Tymczasem K-PTK jest jak najdalej od obniżania lotów terenowych inicjatyw kulturalnych, a przeciwnie — jego celem jest ich pobudzanie i pomoc w realizacji. I całą swoją działalność w terenie zamierza K-PTK prowadzić właśnie przez swoich członków — towarzystwa regionalne, a jeśli ich nie

ma w danej okolicy — wtedy przez oddziały K-PTK, które zostaną tam utworzone.

Było wiele innych obaw, np. przed dublowaniem się pracy Wydziału Kultury i K-PTK. Rozwiała się one jednak wkrótce. Wyjaśniono sobie, że Towarzystwo zajmuje się działalnością społeczną, a Wydział — administracyjną. Zresztą w sytuacji, gdy kierownik Wydziału jest członkiem Prezydium Towarzystwa o zatargach czy dublowaniu nie może chyba być mowy. K-PTK powołuje etatowy, bardzo zresztą szczupły aparat wykonawczy, który obecnie składa się z 2 ludzi (dyrektor Biura K-PTK i sekretarz Prezydium), a po otrzymaniu lokalu ma się powiększyć do 5 (sekretarka i księgowość). Poza tym cała zaś działalność K-PTK odbywać się będzie na zasadzie pracy społecznej.

Powstało już 8 sekcji przy Prezydium K-PTK: 1) plastyki i wystaw, 2) muzyczna, 3) imprezowo-teatralna, 4) klubów „Spojrzeń” i TWP*, 5) wydawnicza, 6) twórczości ludowej, 7) ludowych zespołów artystycznych, 8) muzeów i za-

* „Spojrzenia” — nazwa tygodniowego dodatku „Gazety Pomorskiej”.

Rozmyślania o literaturze

Okazuje się, że można wygrać z czytelnikiem, a zupełnie przegrać z krytyką, można zaskarbić sobie wdzięczność doznających zwykłych ludzi, i nie zdobyć łaski opiniodawców literackich. Dowodem tego cała przebiegała twórczość Arkadego Fiedlera, idąca w dziesiątki tytułów, wznowień i przekładów na języki obce.

Jak wytłumaczyć ową dziwną obojętność polskiej krytyki? Czyżby krytycy nasi nie byli nigdy młodzi? Czyżby nie zachowali żadnego mitego wspomnienia o książkach swojej młodości? Ale o to chyba i pierwszy powód przemiłości. Etykieta pisarza dla młodzieży, twórcy literatury przygodowej, awanturkowej, stercząca do dyskwalifikacji.

Genezy tej i innych przyczyn powściągliwości krytycznej wobec utworów Arkadego Fiedlera szukać by załem należało w subiektywnych odczuciach krytyków, a nie w twórczości autora z podpoznańskiego Puszczykółka. Sympatie bowiem krytyki zdobywa raczej typowa forma powieści i jej odmiany, sprawy współczesnej cywilizacji, odzwierciedlanej poprzez dramaty ludzkie.

Arkady Fiedler wystąpił jako pisarz, dając wyraz swojemu zachwytowi dla natury, dla żywego świata przyrody, zwłaszcza w tych częściach globu, gdzie ukazują się ona człowiekowi w najbujniejszych formach, barwach i najbardziej. Fiedler świadomie odwołał się do tematu egzotycznego, starając się jakby ustrwalić przed inwazją cywilizacji technicznej ostatnie resztki innych cywilizacji, innego krajobrazu.

U podstawy twórczości literackiej Arkadego Fiedlera występowała zawsze osobista percepcja rzeczywistości świata, własne doświadczenie pisarza, które jest właściwe dla twórczości sprawozdawczej, reporterskiej. Tymczasem ten właśnie rodzaj literatury jest przyjmowany z największymi oporami przez krytykę, która wyżej stawia rolę wyobraźni w dziele literackim, niż rejestrację faktów, choćby ona była pięknie przeprowadzona w utworze.

Arkady Fiedler opowiada o rzeczywistym, istniejącym świecie. Piękny jest jednak u niego nie tyle styl, ile światy, które go zaprawowały. Pisze bowiem w sposób absolutnie nieprefensjonalny,

bytków. Każda sekcja ma już plany, zakrojone obszernie, że trudno je tu choćby pobieżnie omówić.

Różne formy

Jednakże chciałbym zwrócić uwagę na niektóre chociaż formy zaplanowanych prac. Wystawy plastyczne. Zamierza się ich zorganizować tyle, aby przez cały rok każdy powiat miał stałe u siebie jakąś wystawę przynajmniej na dwa tygodnie. Z każdej wystawy powiat zobowiązany zostanie do zakupu przynajmniej jednej pracy, którą otrzyma po zakończeniu cyklu, gdyż, oczywiście, wystawy krańczone będą po województwie z powiatu do powiatu.

Powiedziano tu jedynie o niektórych zamierzeniach sekcji, która ma także wiele innych planów. Pozostałe sekcje także. Więc rysuje się obraz jakiejś wielkiej szarży w bydgoskiej kulturze za przyczyną powstania K-PTK. Można by jeszcze zapytać skąd Towarzystwo weźmie pieniądze na realizację tak ambitnych planów. Otóż z dotacji Prezydium WRN, która wyniesie około miliona złotych rocznie. Koszt niektórych imprez (np. wystaw) będą się zwracać, gdy wystawa ruszy w teren. Towarzystwo ma ponadto przejąć rozdział dotacji dla poszczególnych towarzystw — swoich członków, wyczerpując w tym Wydział Kultury. Może się to okazać słuszne z tego względu, że o sumie dotacji decydowałby w tym wypadku szeroki kolektyw mający obraz działalności, efektów i potrzeb wszystkich swoich członków.

którą zwykliśmy nazywać umiejętnością współżycia z ludźmi. Jest przede wszystkim sam człowiekiem, i zarazem humanistą, to znaczy nie okazuje żadnych innych intencji, prócz poznawczych, konfidencyjnych.

Jeśli odnajdujemy w książkach Fiedlera jakikolwiek ślad wyższości, to wynika on ze znajomości ludzi i świata, z tego, że wiele widział i przeżył, jadł chleb z niejednego pieca i kosztował różne gatunki narodowych napojów.

Lecz znowu nie jest to zabawa na czyjś koszt, a tylko wrażliwość na czyjś dowcip, zrozumienie dla cudzego poczucia humoru, zrozumienie cudzych

tradycji i warunków życia. Było przecież wielu pisarzy-podróżników, którzy jednak nie potrafili tej powściągliwości okazać, którzy nie umieli zdobyć się na wyłącznie osobisty słonek od egzotycznych krajin.

Fiedler jest bezinteresowny, każdą wyprawę po materiały literackie traktuje jako nową przygodę, nową zabawę, choć nie jest to najtrafniejsze określenie. Obojętne czy chodzi o kraje południowoamerykańskie, czy o wyspy na Atlantyku, czy wreszcie o smakujące pierwsze dni wolności państwa Azji i Afryki. Tyle że w zależności od kalendarza wyjazdów pisarza ulegały również charakterystycznym odmianom zainteresowania przygodowe autora.

Można wszak już dziś mówić o trzech okresach i trzech różnych odmianach zainteresowań w twórczości Arkadego Fiedlera. Pierwszy, najwcześniejszy charakteryzował się zainteresowaniem dla życia mieszkańców puszczy i wód. Drugi, wojenny objawił się w dwóch kapitalnych książkach o doświadczeniach żołnierskich — „Dziękuję ci, kapitanie” oraz „Dywizjon 303” — którymi Fiedler przekroczył zaczerpnięty krąg tematyki młodzieżowej. I trzeci, najnowszy, w którym pisarz daje wyraz zainteresowaniom dla obyczajów i życia ludzi egzotycznych krajów. W tych najnowszych książkach autor częściej daje wyraz swoim wspomnieniom, porównuje poznane przez siebie cywilizacje różnych krajów, stara się wnikać w istotę kultur, dopuszcza do głosu refleksje filozoficzne. Bohaterami książek Fiedlera stają się w większym stopniu niż dawniej, ludzie, ich zwyczaje, tradycje kulturalne.

Jeżeli dodać do tego, że Arkady Fiedler każdą swoją zamorską wyprawę poprzedza gruntownymi studiami, że solidnie przygotowuje się w zakresie tego, co wcześniej napisano o każdym z odwiedzanych krajów, dowodzi to jak istotna to jest zmiana, jak bardzo pisarz wyszedł naprzeciw dzisiejszemu czasom. Tym więc większa szkoda, że krytycy nie poświęcają książkom Fiedlera tej uwagi, na jaką one zasługują.

Skromny, jakby onieśmielony hłasek większego miasta, pan Arkady przesiaduje tymczasem w zaciszu swojej puszczykowskiej pracowni nad nową książką. Według wszelkiego prawdopodobieństwa będzie to relacja z niedawnej wyprawy do Kanady. W drodze do czytelników jest natomiast opowieść o poprzedniej przygodzie — Gwinei. I tak chyba jest najlepiej. Przecież tylko, że ta piękna i pożyteczna praca tak mało wywołuje oddźwięku w samych kołach literackich.

Feliks Fornalczyk

Czar szerokiego świata

jasny, prawie zupełnie nie korzystając z metafory, porównań. Gdy przestępuje granice zwykłego, codziennego krajobrazu, ufozamia się całkowicie z krainą baśni, z krainą innego obszaru geograficznego i cywilizacyjnego.

Trzeba to właśnie szczególnie podkreślić, że Fiedler nie wnosi z sobą w owe cudowne, egzotyczne kraje swojej wyższości cywilizacyjnej. Nie wybrzydza się, nie sztydzi, nie traktuje niczego i nikogo z góry. Jest wszystkiego ciekawy, niezmordowany w przemierzaniu przestrzeni, w pokonywaniu trudów wędrówki, w łamaniu przeszkód i oporów nieufności.

Przeciwnie, umie zjednywać sobie ludzi, potrafi zdobywać zaufanie, posiada jednym słowem tę wielką sztukę,

Norbert Karaśkiewicz

Ruch kulturowy Klubu „Od nowa”

blemów: tego, co w świecie współczesnym wymaga zwrócenia uwagi czy też rozwijania. W ten sposób znakomici artyści przekazują młodym swoje doświadczenie i poglądy, otwierają przed nimi rozległe perspektywy na sprawy, jakimi żyją społeczeństwa różnych narodowości i kontynentów.

Ten rozbudzony i intensywny nurt życia muzycznego „Od nowy” któremu patronuje Filharmonia Poznańska i do którego włącza się od czasu do czasu PTM im. H. Wieniawskiego jest również silnie powiązany z teatrem, poezją, literaturą i plastyką. Decyduje o tym nie tylko wszechstronność zainteresowań dzisiejszej młodzieży ale postępowy charakter nowej muzyki wobec pozostałych dziedzin sztuki. W końcu spontaniczna działalność przekształcała się w kierowaną i sprecyzowaną w założeniach akcję zwaną: „Pro mu-

sica” — ruch kulturowy Klubu „Od nowa”.

Obejmuje on miłośników muzyki, którzy wymieniają z całym światem polskie płyty w zamian za świetne nagrania z Richterm, Désormières, Tebaldi czy Callas. Innych interesuje wpływ muzyki na naszą psychikę czy znaczenie sztuki i jej pomocna rola w świetle najnowszych teorii naukowych. Wszystkich łączy idea szerokiego upowszechniania sztuki poprzez kontakty osobiste i bezpośrednie rozmowy z ludźmi, wykazywane w tym kierunku zainteresowanie. Nawiązanie kontakty z innymi ośrodkami, którym przekazuje się własne doświadczenie. Ostatecznym zaś celem tego ruchu jest uaktywnienie młodej inteligencji a poprzez nią uświadomienie naszemu społeczeństwu miejsca, jakie w jego życiu powinna zajmować sztuka, a więc i muzyka.

Młodość, pasja, intelektualne zaangażowanie i wszechstronność zainteresowań tworzą atmosferę studentckiego Klubu „Od nowa”. Atmosferę jedną i niepowtarzalną, która decyduje o atrakcyjności i sile poznawczego ośrodka. Jest w nim miejsce na przyjemność, wypocinek i rozrywkę — zasadniczy ton nadają mu jednak spotkania z wybitnymi przedstawicielami ze świata sztuki i nauki, koncerty, Teatr „5” i kabarety satyryczne.

„Od nowa” jest też jedynym klubem studentkim w Polsce, gdzie muzyka nie ogranicza się do jazzu. Ilekroć nazwisko o światowej sławie; skrzypków, pianistów, dyrygentów czy kompozytorów przewinęło się na imprezach „Od nowy” w bieżącym sezonie. Wymienimy chociażby Barinową (ZSRR), Ringeissena (Francja), Loustenau (Argentyna), muzyków z Eastman Philharmonia (USA), a z Polski Smendziankę, Palulisa, Satanowskiego, Semkova, czy Pendereckiego.

Oczywiście „Od nowa” nie jest zainteresowana wyłącznie liczbą zorganizowanych imprez czy rangą reprezentowanego na nich nazwiska. Spotkania prowadzone są pod kątem pasjonujących młode środowisko pro-

Ludzie nie umierają, lecz po-
pełniają powolne samobój-
stwo; przyczynia się do tego
nieznajomość zasad od-
żywiania. Tę mądrą ma-
ksymę, odkrywającą —
przed umiemy patrzyć — je-
dną z podstawowych zasad dłu-
gowieczności, uprzedził szeroki
rzeszom wszechwiedzący „Prze-
krój”. Szerokie rzesze jednak,
choć bardzo chętnie poddałyby się
opartym o najnowsze zdobycze
wiedzy medycznej zabiegom
geriatrycznym, niechętnie chętnie ob-
darzają zaufaniem ludzi, doradzają-
cych rzeczy wypróbowane, acz nie-
zbyt skomplikowane i „uczzone”. Ten
i ów chętnie polknie dziesięć rozma-
itych gatunków mikstur dziennie
niż... wyrzeknie się smakowitego spo-
rządzonego przez żonę śniadanka,
obiadku, podwieczorku i kolacji.

W naszym mieście działa od nie-
dawna, o czym już pisaliśmy, Woje-
wódzki Ośrodek Dietetyczny, którego
pracownicy — lekarze II Kliniki
Chorób Wewnętrznych zajmują się
m. in. właśnie wpływem owego su-
tego i dobrego jadła na nasze zdro-
wie. Omówiliśmy w jednym z po-
przednich wywiadów z naukowcami
wpływ złego odżywiania na powsta-
wanie miażdżycy.

Dzisiaj z podobnym problemem
zwracamy się do specjalisty od scho-
rzeń wątroby i pęcherzyka (potocz-
nie zwanego woreczkiem) żółciowego
dr. Mariana Ruskowskiego. Jak
stwierdził nasz rozmówca, bliższe za-
poznanie się z przebiegiem i przy-
czynami tych schorzeń jest zawsze
bardzo na czasie, bowiem przecięt-
nie biorąc co trzecia kobieta skarży
się na tego rodzaju dolegliwości.

— Czy należy stąd wyciągnąć
wniosek, że choroby pęcherzyka
żółciowego są typowe dla kobiet?

— Są na pewno częstsze u kobiet.
Wyjaśnić to mogą najlepiej główne
przyczyny powstawania tego scho-

Z pracowni naukowców

Samobójcy są wśród nas

zenia; po pierwsze: zbyt obfite i wy-
sokokaloryczne odżywianie się, po
drugie: siedzący tryb życia, po trze-
cie: ciąża, zwłaszcza zbyt liczne. I tu
jest właśnie wyjaśnienie „kobieco-
ści” tej choroby. Często zapadają na
nią również mężczyźni zajmujący
tzw. siedzące, a odpowiedzialne sta-
nowiska. Bo trzeba tu dodać, że
czwartym poważnym czynnikiem,
złe wpływającym na funkcjonowa-
nie pęcherzyka żółciowego, są wszel-
kiego rodzaju emocje, silne przeży-
cia, wzruszenia — zarówno przykre
jak i radosne. Dlatego mamy bardzo
wielu chorych, którzy mimo stosowa-
nia bardzo ścisłej diety odczuwa-
ją poważne dolegliwości.

— Panie Doktorze, może zech-
ciałby Pan wyjaśnić przy okazji
sprawę diety, obowiązującej cho-
rego na drogi żółciowe. Wydaje
mi się bowiem, że w tej dziedzi-
nie panuje u nas wiele przesady
i przesądów.

— Oczywiście, że tak! Chorzy
na pęcherzyk żółciowy czy wąt-
robę stają się po prostu „gandhistami”.
Przychodzą do nas zgłodzeni
oświadczając, że jedzą już tylko
kaszkę, a mimo to czują się źle. To
jest zupełnie zrozumiałe! Prawdo-
podobnie ataki bólu wywołują u
nich np. wspomniane już emocje,
a przy tym organizm jest osłabiony
brakiem odżywiania. Chorzy na pę-
cherzyk żółciowy (pomijam tu scho-
rzenia wątroby, które są zagadnie-
niem zupełnie oddzielnym i znacz-
nie poważniejszym) może w zasa-
dzie jeść wszystko, byle nie za du-
żo, byle nie za obficie i za „do-
brze”. Nie należy oczywiście rów-

niez nadmiernie przeciążać żołądka
tłuszczami. Szkodliwość ich wynika
m. in. z tego, że są najsilniejszym
bodźcem, pobudzającym czynność
ruchową pęcherzyka i że tym sa-
mym zwiększają szanse wystąpie-
nia dolegliwości bólowych.

— Co jest jeszcze takim naj-
bardziej drażniącym bodźcem?

— Na przykład żółtko jajka, owo-
ce surowe, zwłaszcza spożywane ze
skórką, która zawiera dużo trudno
strawnego błonnika, ostre przypra-
wy jak pieprz, papryka, musztar-
da, wywołujące wzmożoną czyn-
ność całego przewodu pokarmowe-
go. Nie wskazane jest również pa-
lenie papierosów. Poza tym — jak
już powiedziałem — można jeść
zasadniczo wszystko, unikając
wszakże potraw ciężkostrawnych
i nie przyjmując posiłków zbyt ob-
fitych. Jeśli np. zamiast mięsa cho-
ry zje wiele ciastek, to skutek bę-
dzie tak samo opłakany: bóle mo-
gą bowiem wystąpić.

— Jeśli zatem nie chcemy po-
wolić dojść „do głosu” naszej
wątroby czy pęcherzyka żół-
ciowego, powinniśmy starać się
o to, by nasze posiłki były uroz-
maicone lecz ilościowo skromne,
uprawiać sporty, wiele spacero-
wać i unikać emocji, co oczy-
wiście będzie najtrudniejsze. To
da pewną gwarancję uniknięcia
choroby. A czy ten tryb życia da-
je również rękojmię wyleczenia
się?

— To są bardzo rzadkie wypad-
ki. Dieta, unikanie podnie-
cia, zmniejsza tylko prawdopodobień-
stwo wystąpienia ataku bólu, samej
choroby jednak nie leczy. W więk-
szości przypadków potrzebny jest
zabieg chirurgiczny. I dodajmy tu
od razu, że im wcześniej się go
przeprowadzi, tym lepiej. Długo-
trwałe niedomaganie pęcherzyka
żółciowego wywołuje bowiem sta-
ny zapalne dróg żółciowych, które
nie ustępują nawet po zabiegu.

.Rozmawiała: WANDA CHILA

Nad „Przeglądem Literackim”

Dokończenie ze str. 1

pisywanych mieszkańcom znad Warty,
wzbogaconą propozycją uzupełnienia
„konferktu” nowymi, charakterystycz-
nymi rysami. Nie jestem powołany do
wystawiania cenzurek, ale zdaje mi się,
że gdzieś na tej osi — niebanalnych
poszukiwań, rozbijania mitów, pełnego
angażowania się w ruchliwej współ-
czesności — leży niewykorzystana
szansa naszej publicystyki społecznej.
Chciałoby się pokrótce scharak-
teryzować bodaj najważniejsze po-
zycje „Przeglądu” — rzecz jednak
przerasta ramy artykułu pisanego na
gorąco, pod pierwszym wrażeniem.
Powiedzmy jedynie — jest co czy-
tać. Dużo i w dobrej formie. Soli-
dna obfitość jak na Poznań przystało.
Ten, nie najpodlejszy przecież gród,
jest pozbawiony własnego czasopisma.

Fenomen paradoksalny, a jednak jak
najprawdziwszy. Starają się tę lukę wy-
pełnić dodatki do „Przeglądu” — chwała
im za to w myśl przysłowia „na bez-
rybiu i rak rybą”. Jednodniowa to
brzmi dumnie. Dla Płocka, Włocławka
i Sieradza. No, powiedzmy jeszcze —
dla Obornik (nie obrażając tych
skądinąd szacownych i sympatycznych
grodów). Ale miasto dysponujące kil-
koma wyższymi uczelniami, Instytu-
tem Zachodnim, Operą, teatrami, Fil-
harmonią, Radiem i Telewizją, dyna-
micznym środowiskiem twórczym oraz
dwoma bez mała setkami dziennikarzy
i publicystów, nie mówiąc już o takich
drobiazgach jak Międzynarodowe
Targi, stać chyba na coś więcej. „Prze-
gląd Literacki” w pełni to potwierdza.

TADEUSZ HALUCH

Eugeniusz Paukszta

Wycieczki w przeszłość

Znamienne, czym szybszy nurt
współczesności, związane
się z nią każdego dnia każ-
dym niemal nerwem —
tym jednocześnie silniej narasta
zainteresowanie historią, szukanie
w przeszłości klucza do rozumienia
zjawisk dnia dzisiejszego. Według
opinii księgarzy, nigdy tak nie było
poszukiwania literatury historycz-
nej, od dzieł sensu stricto nauko-
wych po opracowania popularyzato-
rskie czy drobniejsze przyczynki.

Zacznijmy od prac historyków
poznajskich. Jakby odpowiedział
na wzmożone zainteresowanie śred-
niowieczem, pojawia się praca
znakomitego mediewisty, prof. Ka-
zimierza Tymienieckiego „POL-
SKA W ŚREDNIOWIECZU”, wy-
dana nakładem PWN. Studium to,
wynik długoletnich studiów, przy
wszystkich walorach dzieła nau-
kowego, charakteryzuje się zara-
zem jasnością wykładu, świetnym
stylem i wzorową
poliszczyną. Nie
mówiąc już o
przejrzystości wy-
powiadanych są-
dów, co sprawia,
iż śmiało można symetyzować tę
pracę polecić wszystkim, interesu-
jącym się tym okresem naszej
przeszłości.

Niewątpliwie dużym osiągnię-
ciem jest wydany przez Poznań-
skie Towarzystwo Przyjaciół Nauk
II tom „STUDIÓW NAD DZIE-
JAMI WIELKOPOLSKI W XIX
WIEKU” prof. Witolda Jakóbczy-
ka, niezmordowanego tropiciela
przeszłości naszego regionu i mia-
sta. W oparciu o wnikliwe studium
zasobów archiwalnych W. Jakób-
czyk doprowadza obecnie analizę
dzieł okresu tak zwanej „pracy
organizacyjnej” do roku 1890, przy-
nosząc interesujące dane o zagad-
nieniach takich, jak działalność
Towarzystwa Naukowej Pomocy,
jak funkcja ówczesnych bibliotek
ludowych, jak organizacja kółek
rolniczych, czy wreszcie mieszczan-
skich towarzystw przemysłowych
i spółek kredytowych. Praca nie-
wątpliwie bardzo potrzebna, utra-
wiająca zrozumienie pewnych zja-
wisk zarówno w przeszłości jak i
w dniu dzisiejszym. Skoro zaś je-
stemy już przy W. Jakóbczyku,
należałoby podkreślić, iż historyk
ten potrafi znaleźć czas także na
prace popularyzatorskie. I tak w
popularnej serii „Książki i Wie-
dzy” — „Światowid” — ukazała
się praca W. Jakóbczyka — „BIS-
MARCK”, ciekawe, przejrzyste
studium sylwetki „żelaznego kanc-
lera” i jego epoki.

Nakładem Wydawnictwa Po-
znańskiego, we wspólniejszej
szacie graficznej, ukazała się ostat-
nia książka prof. Zdzisława Grota
„DZIAŁALNOŚĆ POSŁÓW POL-
SKICH W SEJME PRUSKIM”
(1848—1850), w rezultacie wielo-
letnich, żmudnych badań źródło-
wych, wypełniająca istotną lukę
w naszej wiedzy o sytuacji na are-
nie parlamentarnej w Prusach w
dobie Wiosny Ludów, na tym zaś
tęle nasuwająca uwagę wszechstronnie
i wnikliwie działalność polskiej

grupy poselskiej. Potężny to za-
strzyk do zasobów naszej wiedzy
o wielkim Księstwie Poznańskim
w rycinie przetożnych latach.

Do czasów bliższych sięga pięk-
nie wydana przez „Polską” praca
Janusza Gunkowskiego i Kazi-
mierza Leszczyńskiego „OKUPA-
CJA HITLEROWSKA W POL-
SCE”. Jest to zwięzły, oparty o do-
kumentację zrotaową i bogaty
zestaw fotogramów, oraz dzieł
okupacyjnych, hitlerowskiej poli-
tyki zażagłęj do fizycznej eks-
terminacji ludności polskiej. Wy-
daje mi się, że książka ta powinna
znaleźć się w każdym domu, jako
przypomnienie dla starszych poka-
len, a jako nauka i ostrzeżenie dla
aspirowo wchozących w życie.

Ubok prac ściśle naukowych,
rodzowych czy popularyzato-
rskich, niebywałym powodzeniem
cieszą się dziś wszelkiego typu
monografie, gdzie w sposób literac-
ki, zbeletryzowa-
ny ukazane dzieje
jednostek, w ile
odbijają również
kształt danej epo-
ki. Z tej dziedzi-
ny w głośniejszej już serii PIW-ow-
skiej „Ludzie żywi” ukazał się
obecnie opracowany przez St.
Strumph-Wojtkiewicza portret T.
T. Jęza (Zygmunta Miłkowskiego)
pt. „BURZLIWE DZIEJE T. J.
JĘZA”, w oparciu o pamiętniki,
pisma i listy kreślący sylwetkę tego
pisarza, polityka i żołnierza za-
razem. Portret emisariusza i agen-
ta Rządu Narodowego skreślony
jest żywo, ze swadą właściwą
Wojtkiewiczowi, miejscami z praw-
dziwą pasją. Ludowa Spółdzielnia
Wydawnicza wznowiła z kolei cie-
kawie napisaną książkę Mieczys-
ława Lepeckiego „MAURYCY
AUGUST HR. BENIOWSKI —
ZDOBYWCA MADAGASKARU”,
gdzie arcywspiania postać kon-
federata barskiego, późniejszego
„cesarza” Madagaskaru, ukazana
jest w pełnych, intensywnych bar-
wach.

W historię, trochę od drzwi ku-
chennych, z uśmiechem, wpro-
wadzając nas także dwie inne po-
zycje, które cieszyć się będą z pew-
nością wielkim powodzeniem. W
„Wiedzy Powszechnej” ukazała
się praca Marii i Władysława Tom-
kiewiczów „DAWNA POLSKA W
ANEGDOCIE”, antologia dyktety-
jek i facycji historycznych Polski
przedrozbiorowej, wspaniałe stu-
dium obyczajów, a i uzupełnienie
świetnej obrazu dawnej Rzeczypos-
politej. Polecam gorąco, wspaniała
zabawa, a i pomyśleć jest nad
czym! Podobnie do charakterysty-
ki obyczajów Polski wieków XVI
— XVIII nawiązuje wydana przez
„Książkę i Wiedzę” praca Magda-
leny Witwińskiej — „KULIGIEM
PRZEZ TRZY STULECIA”, obraz
„zabaw uciecznych” warstwy szla-
checkiej, satyra na sobiepanstwo,
humor i dowcip, często nie wyszu-
kane owych „pierwszych w narode-
dzie”, w sumie zarazem, choćby
pośrednio, świetny komentarz do
układu ówczesnych stosunków spo-
łecznych.

— niech się nauczą, że nasze widzenie świata
jest przynajmniej odcieniem inne niż potentatów
myśli, z krajów kapitalistycznych... Oczywiście,
oczywiście, nie wszyscy krytycy są tacy źli —
kończy autor. — Mogę wymienić z pół tuzina
całkiem dobrych. Niestety, nie oni robią w tym
światku pogodę.”

**O młodzieży, moralności
i socjalizmie**

Ostatnie wydanie „Życia Literackiego” przy-
nosi rozmowę na temat: „Czy nowa, rodząca się
epoka stawia przed nowym pokoleniem jakie-
ś szczególne wymagania?”. W dyskusji zajmują
przeszło dwie kolumny, uczestniczyli: lekarz,
teoretyk prawa, etyk, psycholog, socjolog i hi-
storyk idei społecznych. Jeden z uczestników
dyskusji mówi:

„Ciągłe jeszcze „pokutuje” u nas opinia, że każ-
dy kończący szkołę średnią powinien studiować
w szkole wyższej. Często taki młody człowiek nie
mógł sobie, mimo nawet dobrych chęci, poradzić
ze studiami. Powstał wtedy niedziwny konflikt
zrodzony z niezdrowych ambicji, kończący się
często chorobą.”

Trudno w krótkim przeglądzie streszczać
główne tezy tej bardzo ciekawej dyskusji. Oba-
ca się ona także wokół zagadnień politycznych,
porusza kwestie etyki socjalistycznej w naszym
kraju, zaradności życiowej, perspektyw rozwoju
młodzieży a nawet rozwoju nauki. Dotyka też
spraw ekonomicznych, przemian gospodarczych,
umiejętności wykorzystywania przyrody i obco-
wania z nią. Tematy poruszone w dyskusji za-
interesują nie tylko młodzież akademicką i mło-
dzież szkół średnich, ale również ludzi doro-
stych.

Zwracam także uwagę na reportaż Jerzego
Amrozewicza pt. „Herod i niewiniątko” w ostat-
nim numerze „Tygodnika Kulturalnego” oraz na
artykuł pt. „Rozewir inicjatywy”, zamieszczony
w „Życiu Gospodarczym”, a poświęcony samo-
rządom robotniczym.

LEKTOR

do redaktorów

Artykuł

Zarząd Związku Polskich Ar-
tystów Plastyków Okręgu Po-
znańskiego pozwala sobie prze-
kazać na Wasze ręce serdeczne
podziękowania za cenną współ-
pracę przy wspólnie organizo-
wanym Kiermaszu Gwiazdko-
wym Grafiki.

Dzięki prowadzonej na Wa-
szych łamach kampanii reklamo-
wej, wyniki kiermaszu przeszły
nasze oczekiwania i stanowią
duży i cenny wkład w dzieło
upowszechnienia wartościowej
plastyki.

Liczymy na dalszą harmonijną
współpracę przy prowadzeniu
podobnych akcji, i pozostajemy
z poważaniem

Prezes Zarządu Okręgu
ZBIGNIEW BEDNAROWICZ

Przewodniczący Sekcji Graficznej
KAZIMIERZ SŁAWINSKI



Polska powiatowa

„Polityka” znów powraca do tego na pozór
tylko ogranego tematu. Całą kolumnę tego ty-
godnika wypełnia 7 autentycznych listów, któ-
rych nadawcą jest b. główny księgowy Zakładów
Mięsnych w powiatowym mieście X. Ich adresa-
tem zaś — dziennikarka „Polityki” — Barbara
W. Olszewska. Pierwszy z listów nosi datę
10 października 1961 roku, ostatni — 19 stycznia
1962 roku. Nadawca został zwolniony z pracy.
W jego listach — prócz prośby o pomoc —
opisane są stosunki między ludźmi i mechanizm
działania władzy. Między innymi pisze:
„Otrzymałem ostatnio wypowiedzenie stosun-
ku pracy. Jako przyczynę podano odpowiednią de-
cyzję czy uchwałę Komitetu Miejskiego Partii.
Powody czy przesłanki tej decyzji — ściśle tajne.
Nie na tyle jednak, by drogą różnych niedyskre-
cji nie mógłbym utworzyć sobie pewnego o nich za-
dania... Rozważa się... zatrzymanie mnie w tymże
przedsiębiorstwie na skromniejszej pracy... o ile
jednak nie będę się starał wyświecić przyczyny
okoliczności wypowiedzenia.”

W przedostatnim liście do dziennikarki autor
pisze:
„Ujawniono w X. poważną aferę gospodarczą,
popełnioną przez ludzi, którzy cieszyli się inten-
sywnym poparciem i sekretarza KM... W ramach
prac zleconych (kiedy autor listów już nie pra-
cował w Zakładach Mięsnych — dop. Lektora) po-
wierzone mi uporządkowanie pewnego zakresu
evidencji księgowej tej instytucji. Jestem zdumio-
ny ogromem szkód i mentalnością ludzi, którzy
je popełnili...”

Ten pasjonujący zbiór listów nosi tytuł „Obcy”.
Ich autor miał dość istotną — jak sam to nazywa
— „skazę” życiową. Jako dziecko został za-
pisany w czasie okupacji na listę narodowości
niemieckiej, w konsekwencji czego miał „wąt-
pliwy zaszczyt” paroligodniowego pobytu na
froncie i paroligodniowego — w obozie jenieckim
w ZSRR”. W końcu 1950 roku rzucił ustabilizo-
waną pozycję społeczną w NRD i wrócił do ro-
dzinnego miasta. Nie ukrywał tego w życiorysie
i przez 11 lat nienagannie pracował. W chwili
wypowiedzenia podkreślono, że nie ma na-
jmniejszych zastrzeżeń do jego pracy zawodowej.
Za pretekst do zwolnienia posłużyła owa
„skaza” życiowa.

Jak się ta sprawa skończy — zapewne dowie-
my się z następnych numerów zawsze konse-
wentnej „Polityki”.

Czombe nie zdradził ludu

Również na łamach „Polityki” znajduje się
bardzo interesujący reportaż Ryszarda Kapuściń-
skiego pt. „Czombe”. Kim jest ten człowiek?
Dlaczego jest właśnie taki? — Na te pytania
stara się odpowiedzieć Kapuściński w swym re-
portażu. Piszemy on:
„Murzyn, kiedy się wstydzi, zamyka oczy. Cała
Afryka zamyka oczy na dźwięk słowa Czombe.
U nas nie docenia się Czombe. Mówimy, że to
zdradca. Czombe nie jest zdradca, bo nigdy niko-
go nie zdradził. Czombe nie zdradził ludu: zawsze
go nienawidził. Czombe nie zdradził Lumumbi:
zawsze mu mówił, że go spali na stosie. Czombe
był przeciwny jednemu i przeciw wolności, więc
tych idealów też nie musiał zdradzać. Czombe
od początku był tym, czym jest — iotrem. Jest
to na pewno polityk wybitny. Czombe przetrwał
o głowę wszystkich Mobutów, Kasavubów, Kalan-
dich razem wziętych.”

Jak wynika z reportażu — życiorys Czombe
jest bardzo ciekawy. Był on synem jednego z
największych czarnych milionerów w Afryce. Po-
tem roztrwonął fortunę odziedziczoną po ojcu

i oddał się na usługi Union Miniere. Od począt-
ku nie przebiegał w środkach.

Putrament o polskim filmie

Co jest z tym polskim filmem — zapytuje Jerzy
Putrament, autor stałe ukazującego się na łamach
„Przeglądu Kulturalnego” Kąkła Laika. I stara
się na to pytanie znaleźć odpowiedź. Dodajmy:
stara się patrzeć obiektywnie, widzi dodatnie
zjawiska i ujemne. Wśród dodatków wymieniamy
następujące:

„Film nasz nie jest pod przymusem kapitali-
stycznego zarobkowania, nie pędzi się go na ulicę,
byłoby ileś tam dolarów przyniesie do do-
mu. Dlatego szansą na dzieło sztuki ma o wiele
więcej niż w krajach kapitalistycznych, gdzie...
przede wszystkim chodzi o szybki zysk... Znalazła
się u nas kohorta wybitnych reżyserów... Film
nasz — jedyny na świecie — posiada bezinteresow-
nego — albo prawie — mecenasa. Niestetyczna —
zaiste — szansa. Dalej: zdobyto się na śmiały
eksperyment, stworzono zespoły filmowe. To zna-
czy w dużej mierze przekreślono niebezpieczeń-
stwo centralizacji... Wreszcie: przez te 10 lat do
filmu przyrosło kilku zdolnych literatów.”

A jakie są hamulce rozwoju filmu? Do mniej
ważnych autorów zalicza organizację, mając na
myśli małżeństwo sztuki z przemysłem. Do waż-
niejszych — sprawę kwalifikacji scenarzysty:
„Jeśli mamy robić 30 filmów rocznie, trzeba
ocenić te 150 scenarzystów... Mamy taką radę
scenariuszową, której sam mam zaszczyt być człon-
kiem... Tylko jeden z tej komisji jest zawodow-
cem, tj. traktuje ocenę scenariuszy jako swoje
podstawowe zajęcie. Wszyscy inni mają na głowie
po parę spraw ważniejszych... Musieli by oni oc-
niać po 2—3 scenariusze tygodniowo, tj. w grun-
cie rzeczy nie innego nie robić!”

Zdaniem Putramenta ciało weryfikujące jest
za duże, mało operatywne i nie poczuwające się
do odpowiedzialności. Stąd przepuszczenie tak-
kiej brejki jak „Ostrożnie, ye!”
„Chcecie poprawić film polski? Zaczniemy od
krytyków. Oducie ich /przynajmniej trzech
brzydłych rzeczy. Po pierwsze — stałowości... Po
drugie — pogardy dla masowego widza... Po trze-